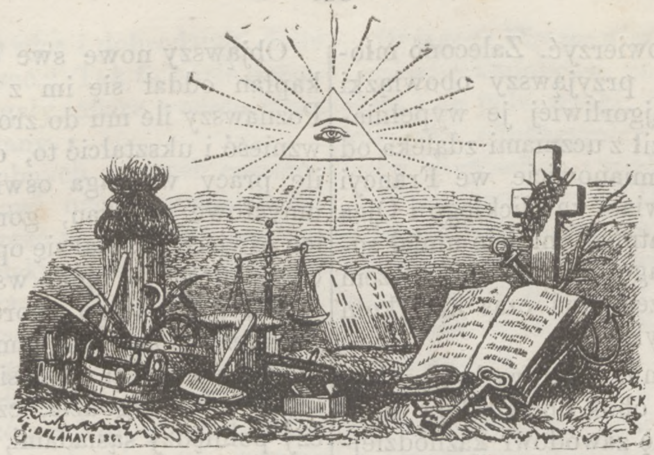
№ 44.
WARSZAWA
3 Listopada
1861.

REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr 1527.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Ksiądz Grzegorz Piramowicz.— Opowiadanie panienki. — Okolice Krakowa: Kopalnie soli w Wieliczce.— Strzałki piorunowe.— Przodownik.— Różności.— Sprostowanie.*

Ksiądz Grzegorz Piramowicz.

Może nie o jednego z was ucho obiło się nazwisko, które na czele stoi wypisane; może już kto wspominał wam o życiu tego czcigodnego kapłana; ale tyle on zasług położył dla Polski, że nie zaszkodzi choćby wiadomość o życiu jego była powtórzeniem tego, co już ktoś z was mógł słyszeć.

Znany z głębokiej nauki, ukochał on poczciwy nasz lud wiejski, poświęcił dlań połowę swojego żywota, a życiorys jego może być uważanym za wzór postępowania zacnego polskiego kapłana.

Grzegorz Piramowicz urodził się w r. 1735 we Lwowie, (1) główném mieście Galicyi, z rodziców pochodzenia Ormiańskiego (2), którzy kupiectwem się trudnili.

Wychowany w szkołach jezuickich; po ich ukończeniu nie rozstał się ze zgromadzeniem, które go kształciło, lecz oblókł sukienkę duchowną i został członkiem zakonu OO. Jezuitów. Od młodości odznaczając się tak swém postępowaniem, jako i zdolnościami, zjednał sobie miłość, życzliwość, a zarazem szacunek i poważanie swoich przełożonych, którzy przewidując w nim kiedyś znakomitego kapłana, starali się dopomódz mu do dalszego wykształcenia, jakie można nabyć w podróży za granicą odbytéj. Niezadługo nadarzyła się ku temu sposobność. Potoccy, mając zamiar wysłać za granicę trzech młodzieńców, do swojéj rodziny należących, szukali kogoś, komuby mo-

(1) Lwów miasto stołeczne Galicyi nad rzeką Pełtwią, odległe od Krakowa 45, a od Warszawy 50 mil, ma przeszło 60,000 mieszkańców, a domów 3,600. Z miast polskich po Warszawie największe, posiada akademię, dwa gymnazya czyli szkoły wyższe, wielką bibliotekę założoną przez pp. Ossolińskich, w któréj jest do 60,000 książek i drugą mało co mniejszą, 24 kościołów, 7 klasztorów, teatr i dużo pięknych budowli. Lwów jest siedzibą władz krajowych, oraz stolicą trzech biskupów, to jest arcybiskupa katolickiego, biskupa greckounickiego i biskupa ormiańskiego. W Czerwcu corocznie zjeżdżają się obywatele do Lwowa na wielki jarmark, odbywają się też tam posiedzenia towarzystwa rolniczego galicyjskiego i sejmu galicyjskiego.

(2) Ormianie początek swój biorą z Azyi, lecz wielu bardzo z nich już od wieków osiadło w Europie, w Turcyi, na Wołoszczyznie i w Polsce. Dzielą się na dwa wyznania: jedne uznające za głowę Kościoła Ojca świętego w Rzymie i od chrześcian rzymskich katolików nie różniące się niczem, jak tylko zewnętrzną formą obrzędów kościelnych; drugie zbliżone bardzo do wyznania ruskiego czyli prawosławnego. Ksiądz Grzegorz Piramowicz pochodził z pierwszych, tegoż samego pochodzenia był i ksiądz Antoniewicz, znakomity kaznodzieja niedawno zmarły, o którym podaną mieliście wiadomość w Czytelni Niedzielnéj.

gli opiekę nad nimi powierzyć. Zalecono młodego kapłana, który przyjąwszy obowiązki powierzone sobie i najgorliwiéj je wypełniając, kilka lat przepędził z uczniami zdaleka od kraju rodzinnego, a mianowicie we Francyi i w Rzymie, stolicy świata katolickiego i Ojca świętego. W tém ostatniém mieście umiał sobie zjednać taką powagę, że obrany mistrzem teologii moralnéj, przez jakiś czas klerykom w kollegium nauki wykładał.

Po powrocie z Rzymu, osiadł we lwowskiém kollegium Jezuitów i obok obowiązków nauczyciela, poświęcał się zawodowi kaznodziejskiemu.

Serdeczna przyjaźń łączyła go z opatem Rzewuskim, któremu, ciężką chorobą dotkniętemu towarzyszył do Rzymu, oraz z Ignacym Potockim, mężem wysokiéj cnoty i znakomitych zasług, który choć młodszy od Piramowicza o lat kilkanaście, nie różnił się od niego co do sposobu myślenia, i prace swoje ojczyźnie poświęcał.

W r. 1772 zakon Jezuitów został zniesionym przez wyrok Ojca świętego, członkowie tego zgromadzenia rozsypali się po kraju, szukając przytułku i zajęcia. I Piramowicz rozmyślał gdzie się ma obrócić, lecz zacny przyjaciel Ignacy Potocki ofiarował mu probostwo w dziedzicznėm swém miasteczku Kurowie (3), które zacny kapłan przyjął z radością. Przed przybyciem proboszcza, dziedzic urządziwszy domek i całe gospodarstwo, przyjął go w progu z chlebem i solą, otoczony gronem parafian i sędziwych włościan. Ten mąż, pochodzący z zamożnéj rodziny i wysokie w kraju stanowisko zajmujący, nie uważał się za coś wyższego z powodu swojego urodzenia, ale owszem szczycił się znajomością i przyjaźnią cnotliwego, z niższego stanu pochodzącego człowieka, i przez 30 lat blizko jego pobytu w Kurowie, zawsze był dlań z jednakiém sercem i wylaniem, którego nic zachwiać nie zdołało; daj nam Boże! więcéj takich ludzi, jakimi byli Grzegorz Piramowicz i zacny jego przyjaciel Ignacy Potocki.

Objąwszy nowe swe obowiązki, czcigodny kapłan oddał się im z całém poświęceniem. Poznawszy ile mu do zrobienia pozostaje, aby wznieść i ukształcić to, co było zaniedbaném, ile pracy wymaga oświecenie i podniesienie umysłowe parafian, gorliwie czas trawił na ich oświeceniu: stał się opiekunem sierot, starców, kalek i w ogóle wszystkich nieszczęśliwych; jeżeli kogo choroba, ogień lub nędza dotknęła, pośpieszał tam dobry pasterz z pomocą i pociechą; jeżeli się dowiedział o jakiéj kłótni lub niezgodzie, czy to między rodziną, czy pomiędzy sąsiadami, tyle starań dokładał, dopóki nie pogodził zwaśnionych.

Pamięć zacnych czynów kapłana nie zaginęła do dziś dnia; w okolicy gdzie bawił opowiadają wiele jego poczciwych postępków.

Gdy jednemu niezamożnemu dzierżawcy ogień zniszczył cały dobytek, a nielitościwy dziedzic w razie niezapłacenia czynszu dzierżawnego, groził mu wyrzuceniem z żoną i dziećmi, biedny ojciec uniesiony nierozsądną rozpaczą, postanowił sobie życie odebrać. Piramowicz dowiedziawszy się o nieszczęściu, zapłacił czynszsz należący się dziedzicowi i pośpieszył doręczyć kwit biednemu dzierżawcy. Znalazłszy go nad rzeką, gdzie chciał wskoczyć w celu odebrania sobie życia, zgromił go surowo za rozpacz i zwątpienie o miłosierdziu Boskiém, a oddawszy kwit, dopomógł do zakupu inwentarza, pomieszczenia dzieci, a tak podupadłego biedaka postawił na nogi.

Kiedy indziéj dowiedziawszy się, że dwaj bracia po śmierci ojca nie mogą się pogodzić, co do podziału dziedzictwa pozostałego, i wszelkie sposoby użyte do ich pogodzenia przez innych gospodarzy, wójta gminy i rządcę majątku nie zdołały zgody sprowadzić, przywołał ich do siebie; ale i jemu nie lepiéj poszło z początku: wszelkie nauki i perswazye były daremnemi, wreszcie nie mogąc w inny sposób poradzić rzecze: „Słuchajcie, a gdybym też temu, co weźmie gorszą waszém zdaniem, odbudował moim kosztem chałupę na pustce i dał na zapomogę parę jałówek, czybyście się pogodzili?“ To dopiero skłoniło ich do zgody, jeden z nich rzecze: „Wiesz co bracie, nasz ojciec dobrodziej, to tak jak święty Marcin, co się dzielił z ubogim; dodaj mi jeszcze pięć owiec, dwie brony i wóz, to ja wezmę pustkę; drugi odpowiada: zgoda, ale nie żądaj-

(3) Kurów, małe miasteczko leżące w gubernii i powiecie, Lubelskim, przy trakcie Warszawsko-Lwowskim, o 4 mile od Lublina, liczy 2,500 mieszkańców, z których większa połowa starozakonnych, domów 268, ładny kościół parafialny, dawniéj było własnością rodziny hr. Potockich, obecnie należy do p. Iżyckiego.

my krzywdy naszego ojca i dobrodzieja, żeby dla nas miał szkodować.“ Tak to gdzie namowy i nauki nie pomagały, ofiara z serca idąca zrobiła skutek pożądany.

Dużo bardzo podobnych zacnych czynów, zjednało Piramowiczowi ogólną miłość i szacunek, które się jeszcze powiększyły na widok poświęcenia i opieki, jakie rozciągnął nad mieszkańcami Kurowa po okropnym pożarze, który całe prawie miasteczko w perzynę obrócił.

Niedługo potem, gdy w Warszawie utworzono komissyę edukacyjną, mającą radzić nad urządzeniem szkół, w któréj skład wchodzili mężowie znani z zasług i nauki, księdza Piramowicza wezwano na sekretarza wspomnionéj komissyi. Odjeżdżając, pozostawił ukochanych parafian opiece brata swego Stasława, także kapłana; a sam oddał się obowiązkom nowo przyjętym. Ważne to były obowiązki, bo tyczyły się reformy szkół i wychowania narodowego, od którego zależy szczęście i pomyślność narodów. Im więcéj są oświeceni ludzie, tem lepiéj rozumieją potrzeby swoje i całego kraju i rozumniéj im zaradzają. Kto więc pracuje nad rozszerzeniem oświaty i polepszeniem edukacyi narodowéj,— wart jest wdzięcznego wspomnienia i długiéj pamięci w narodzie. Na taką pamięć zasłużył sobie Piramowicz, który gorliwie nie tylko we dnie, ale i w nocy na spełnianiu tych obowiązków czas trawił. Miał on prócz tego czynny udział w pracach towarzystwa elementarnego, które trudniło się wydawaniem książek elementarnych, dążących do nauki i oświaty; zwrócił na siebie uwagę Stanisława Augusta, króla Polskiego. Król ten bawiąc w Warszawie, co Czwartek dawał obiady, na które zapraszał wszystkich ludzi uczonych, między innymi bywał tam i ksiądz Piramowicz i powszechnie lubionym był dla dowcipu i szlachetnego sposobu myślenia.

Po powstaniu Kościuszki i po trzecim rozbiorze Polski, powrócił do Kurowa, przyjęty z otwartemi rękami przez parafian, ale cierpienia doznane w ostatnich czasach, podkopały mocno jego zdrowie, a zwłaszcza oczy bardzo osłabły. W sędziwym wieku stósownie do życzenia zacnych dziedziców, zdał rządy parafii na brata Stanisława, a sam przeniósł się do Międzyrzeca, gdzie zakończył życie dnia 29 Grudnia 1801 r.

Grzegorz Piramowicz, serdeczny przyjaciel i opiekun kmiotków, położył też nie małe zasługi i na polu nauki, już to jako sekretarz komissyi edukacyjnéj, już jako autor dzieł kilku. Napisał on i wydał następujące książki: *O wymowie* tom I i II, tom III wyszedł dopiero późniéj, staraniem W. JX. Pieńkowskiego, późniejszego proboszcza w Kurowie, a obecnie biskupa dyecezyi Lubelskiéj.

Nauka obyczajowa dla ludu wiejskiego.

Instrukcya dla nauczycieli szkół początkowych. Książka wielce ważna i pożyteczna. Każdy nauczyciel posiadać ją i znać powinien.

Dykcyonarz starożytności, dzieło dość obszerne, przerobione z języka francuzkiego.

Zaczął też pisać *Książkę użyteczną dla ludu*, ale téj już nie zdołał dokończyć; podobno że rękopis jéj istnieje.

Na tém kończymy krótki nasz opis żywota czcigodnego pasterza, który jako cnotliwy człowiek, opiekun włościan i nauczyciel ludu, może służyć za wzór dla kapłanów, którym powierzoną jest opieka nad naszym ludem po wsiach i miasteczkach zamieszkałym.

Opowiadanie panienki.

— Wiecież wy moi ludzie, odezwała się panienka, zkąd się to wzięło to dzisiejsze święto Najświętszéj Maryi Panny od wykupu niewolników?

— Bogać tam mamy wiedzieć! Panienka w książkach czyta, to zna wiele rzeczy choć młoda; u nas człek choć i stary to głupi, bo się z nikąd niczego nie dowie.

— Możnaby to i temu trochę zaradzić i pomówimy o tem wkrótce, bo się i tak na to zbierałam, a teraz co ja wiem, a wy nie wiecie, opowiem wam jeśli chcecie.

— Prosimy panienki, odrzekły kobiety bliżéj się skupiając.

— Otóż widzicie moi ludzie, dawno już temu częste bywały wojny między chrześcijanami, a niewiernymi poganami. Ci poganie jak dostali chrześcian w niewolę, męczyli ich srodze, kusili do zaparcia się Boga i strasznemi nieraz próbowali zmusić do tego mękami. Otóż litowały się pobożne dusze nad taką jeń-

ców niewolą i przemyśliwały jakby zaradzić temu. Jednemu pobożnemu zakonnikowi, w dalekim od nas kraju, w Hiszpanii, wy wiecie o tem Marku, boście tam z legionami byli, otóż to w owéj Hiszpanii jednemu zakonnikowi, w sam dzień Śgo Piotra w okowach, ukazała się Najświętsza Panna, rozkazując mu założyć zakon, coby się zajmował wykupywaniem jeńców z pogańskiéj niewoli. Opowiedział ten zakonnik swoje widzenie królowi, a król mu powiada, że jemu tak samo ukazała się Najświętsza Panna i tak samo nakazała. Zdziwiony zakonnik idzie opowiadać swemu spowiednikowi świętemu Rajmundowi, a ten mu znów to samo zeznaje, że tak samo Najświętszą Pannę widział i że mu nakazała to samo. Wzięli się więc zaraz do wypełnienia rozkazu, założyli zakon, którego zakonnicy wędrowali w dalekie kraje pogańskie, zabierali summy na wykup, a nieraz i sami dawali się w niewolę na czas, żeby innych uwolnić, i odtąd to postanowiony dzień Najświętszéj Maryi Panny od wykupu niewolników. Od nas też z Polski nie mało ludzi jęczało w pogańskiéj niewoli. Nieraz się zawziął na nas gniew Boży i ćma dzikich Tatarów wpadała na nasze wsie i miasta. Tatarzy ci byli poganie okrutni i spojrzeć na nich było straszno. Byli oni niskiego wzrostu, a krępi i barczyści, śniadéj twarzy...

— Zupełnie jak Olek! przerwała Ulina, a inne dziewuchy parsknęły śmiechem. Albo nie? taki przysiadły i czarny jak Tatar.

— Cicho dziewuchy, nie przeszkadzajta panience. Tak co moja panienko? Cóż daléj?

— A toż ci Tatarzy nie koniecznie do Olka podobni, bo byli rabusie i poganie, a Olek cichy i poczciwy człowiek, nosili kożuchy włosem na wywrót, czapy wielkie z futra też wywróconego, a z pod tych kołpaków futrzanych świeciły oczki maleńkie, a chytre i szkaradne. Jadali oni surowe mięso, pijali kobyle mleko, i z koni od dziecka nie z siadali prawie, a żyli grabieżą i rabunkiem cudzéj własności. Jak ci Tatarzy churmem wpadli na Polskę, najczęściéj od Ukrainy i Podola zaczynając, to zostawiali po sobie pola kopytami końskiemi stratowane, miasta w gruzy rozsypane, a wsie puste, tak, że ledwie gdzie niegdzie człowiek pozostał, płacząc za wszystkiem co utracił. Uprowadzili dobytek, uprowadzili synów młodych, córki i żony nieraz; kiedyś 21,000 panienek samych wzięli z sobą w ciężką niewolę; za nimi zostawały pustki, gruzy, płacz i lament. Nieraz wam opowiem o niejednéj napaści tatarskiéj, dziś wspomnę tylko, że niedaleko Warszawy, we wsi Prostyni, jest obraz Matki Boskiéj wybawicielki od niewoli pogańskiéj. Kiedyś miało być dwóch muzykantów przy kościele téj wsi; wpadli Tatarzy, poszli oni z drugimi bronić swego kraju i dostali się dzikiemu Tatarowi jako jeńcy. Okuł ich w ciężkie okowy, uprowadził w kraj daleki, dręczył prześladowaniem, morzył głodem, obarczał pracą, a oni pracując okuci w łańcuchach, zwracali serca do swojego kraju, do wioski swojéj i do Matki Najświętszéj, w któréj kaplicy grywali. Raz wezbrały im serca większą jeszcze niż kiedykolwiek żałością, padli na kolana, przywołali w myśli ten obraz cudowny, wyciągnęli ręce ku niemu błagając litości w swojéj ciężkiéj doli. W tym płaczu spuścił Bóg na nich sen twardy. Budzą się wreszcie, oglądają... Boże wielki! co za cud niesłychany! wśród snu przeniósł ich Pan Bóg do ojczyzny, do wioski gdzie się rodzili, przed kościół gdzie był ten obraz cudowny, a okowy spadłe u nóg ich leżały. Wiszą tam do dziś dnia te kajdany, a ludzie nieraz z prośbą tam śpieszą, a z pociechą wracają.

— Moja panienko, to śliczna historya! Człowiek to nieuczony, to dobrze że od panienki czasem co usłyszy.

— Moi ludzie, z duszy z serca bym rada wam opowiedzieć wszystko co wiem, ale żeby to jako pomyśleć, żebyście sami mogli się wszystkiego dowiadywać się, choć mnie niestanie, a jeśli już nie wy, to choć dzieci wasze. W książkach to wszystko stoi, umieć przeczytać, a człowiek wszystkiego się dowie. Myślę ja to o tem, żeby dzieci wasze czytać umiały. Dopomóżcie mi dobrą waszą chęcią. Wiem ja, że o tém trzeba dobrze się rozmyślić i nieraz rozgadać. Weźcież sobie teraz tylko do głowy i sami pomiarkujcie, czy źle czy dobrze dla człowieka, jak się czego nauczy?

— Juści chyba dobrze, odpowiedziała Matyska i Frasolitowa. Ale gdzie to tam naszym dzieciom do tego! dodała Maślaczka.

— No, pogadamy o tem, bo dziś już czasu nie mam; już tam państwo pewnie z obiadem na mnie czekają. Zostańcież z Bogiem moi

ludzie, a pamiętajcie, żem ja panu zaręczyła, że choć na dzisiaj zwolnił od roboty do południa, to bałamuctwa żadnego nie będzie, a robota od południa pójdzie. Bądźcież zdrowi; o nauce dzieci pogadamy jeszcze.

I rozeszli się: panienka do dworu, ludzie do wsi na obiad, a czy tam zaprawdę jak panienka prosiła bałamuctwa od południa nie było, czy dzień zaczęty w kościele na modlitwie, nie skończył się w karczmie na pijaństwie? Na to moi ludzie, żebyście mi kazali przysiądz, ponobym nie przysięgła. Bo to u nas ludzie Bogiem a prawdą, serca nie twarde mają; powiedzieć mu dobre słowo to go i skruszy, przemówić mu do rozumu, to świętą prawdę przyzna; ale też łatwo z serca słowo Boże wypuści, myśl poczciwa jak mu ucieka z głowy, to jéj nie zatrzyma bo leniwy; a jak się też sercem i myślą świętéj prawdy puści, to grzęznie w błoto nie przymierzając jak zwierze. Czy to jednemu wódka wygnała Boga z duszy, że już na nic poczciwego serca, na nic sprawiedliwego rozumu stać mu nie było.

Nie jednemu już się rozświeciło w głowie, zobaczył co to uczciwość, praca, trzeźwość, sprawiedliwość, a co próżniactwo, pijaństwo, cudzego dobra pragnienie, miał już zostać poczciwym człowiekiem, licho do karczmy zaniosło, zalała się głowa i z poczciwemi myślami wszystkie potonęły i przepadły. Z człowieka na obraz i podobieństwo Boskie stworzonego, zrobiło się zwierzę i praca zaległa, grosz się zmarnował, bieda zajrzała, za nią poszedł frasunek, dalejże go znów zapijać. Swego nie starczy, to się i cudzem nadsztukuje. Ot i już rozbrat z poczciwością wzięty. Cieszy się djabeł, że zyskał jedną duszę, a Bóg się smuci w niebie. Po cóż licho niesie? powie który; dziecinne to jest gadanie? Cóż to jest to licho, o którem gadasz człowiecze, ażali nie zła chęć i grzeszne pragnienie twoje, któregoś ty dla miłości Bożéj odstąpić powinien, a nie iść gdzie cię zła żądza wiedzie, bo ona powinna być pod tobą, a ty powinieneś być nad nią. Bo ci Bóg dał wolną wolę dla tego, żebyś złe dobrem pobił, żeby Bóg w twojéj duszy czarta zwyciężył.

Okolice Krakowa.

KOPALNIE SOLI W WIELICZCE.

O półtory mili od Krakowa, w stronie południowo-zachodniéj, na pochyłości wzgórza leży Wieliczka, połączona z dawną stolicą naszych krolów gościńcem bitym, a od kilku lat i koleją żelazną.

Miasteczko to starożytne bardzo, jak wszystkie inne górnicze, powstało z niepozornéj osady; już przez Kazimierza Wielkiego zostało opasane murem, późniéj wybudowano zamek, obecnie służący za kancellaryę.

Wieliczka dawnemi czasy wiele bardzo ucierpiała podczas napadów nieprzyjacielskich, zwłaszcza od Szwedów w latach 1655 i 1702. Nie wielkie to miasteczko, ale porządne, leży na pochyłości wzgórza całe podkopane, lecz podkopy te nie grożą wcale miastu niebezpieczeństwem, gdyż są bardzo głęboko. Domów murowanyeh jest dużo, gmachy salinarne, zarząd górniczy w dawnym zamku, kąpiele solne, magistrat, szkoła normalna, kościołów jest dwa: jeden farny, a drugi z klasztorem OO. Reformatów, liczba mieszkańców dochodzi do 6,000.

Główną osobliwością, dla któréj Wieliczka jest słynną w całéj Europie i ciągle zwiedzaną, są saliny czyli kopalnie soli, przez swą rozległość, czystość soli i wspaniałość robót, zajmujące pierwsze miejsce w Europie, a nawet podobno i na całym świecie (1).

Podług podania, sól tutaj została sprowadzoną cudownym sposobem przez Ś. Kunegundę czyli Kingę, córkę Beli króla węgierskiego, zaślubioną w roku 1239 Bolesławowi Wstydliwemu królowi Polskiemu. Oto co podanie powiada:

,,Król Bela wyprawując córkę do Polski w małżeństwo, dawał jéj bogate wiano czyli posag w srebrze i złocie, ale pobożna królowa wiedząc, że kraj, do którego się wybiera, jest bogaty i nie zbywa mu ani na złocie, ani na srebrze, a biedluje bez soli, prosiła ojca, aby jéj na wiano dał jednę z gór solnych, jakich wiele jest na Węgrzech. Król Bela z uśmie-

(1) Wiadomość o kopalniach soli w Wieliczce, była już zamieszczoną w Czytelni Niedzielnéj, tutaj opuszczamy rzeczy, o których już była mowa, a zamieszczamy wiadomości poprzednio pominięte.

chem przystał na żądanie córki, zdające się być dziecinném, bo jakże górę przenieść z węgierskiéj ziemi o mil kilkadziesiąt pod Kraków; ale świątobliwa królewna miała to u Boga wyjednać. Stanąwszy nad kopalnią soli, darowaną sobie przez ojca, wrzuciła w nią złoty pierścionek, a gdy przybyła do Polski, w tém miejscu gdzie dziś leży Wieliczka, kazała kopać od rana aż do zmroku. Kopano i kopano, ale przez cały dzień sól się nie pokazywała, dopiero ku wieczorowi kopiący uderzywszy o coś twardego, wydobyli bryłę soli, z któréj po roztłuczeniu wypadł pierścionek, wrzucony przez królowę do węgierskiéj kopalni, która tam zginęła. (2).“ Podanie to musi się odnosić do innéj miejscowości, gdyż w Wieliczce, jak stare dowody piśmiennne, nadania i przywileje kościelne przekonywają, dobywano sól już na początku XII stulecia.

Bogactwa żup czyli kopalń Wielickich, stanowiły część dochodów stołowych królów polskich, już za czasów Bolesława Wstydliwego. Najczęściéj bywały puszczanemi w dzierżawę osobom prywatnym.

Trzy razy w kopalniach Wielickich zajął się okropny pożar. W latach: 1410, 1510 i 1644; drugą razą ogień został podłożony przez złośliwość pewnego robotnika, a dwóch zacnych mężów: Kościelecki i Betman, poświęciwszy się na niebezpieczeństwo, spuścili się do kopalń i ogień ugasili. W r. 1644 ogień zająwszy się w Grudniu, trwał przez rok cały, bo w kopalni, gdzie nie tak łatwo ogień ugasić, jak na ziemi, gdzie się ma wodę, ludzi i wszystko co potrzeba pod ręką. W r. 1849 w Bochni, w Galicyi, o kilka mil od Wieliczki, gdzie także są kopalnie soli, zajął się ogień i pożar w jednéj części kopalni trwał przez kilka miesięcy, zanim zdołano go opanować i ugasić. W późniejszych czasach kopalnie wiele szkód doznały podczas przechodu wojsk.

Chcąc wejść do kopalni, należy się wystarać o bilety, poczem rozdają się zwiedzającym białe płócienne koszule, dla ochrony sukien od pyłu solnego, unoszącego się w powietrzu. Wszystkich otworów czyli szybów jest jedenaście; do kopalni dostać się można dwoma sposobami: albo spuścić się na linie, do któréj kanapki parciane są przytwierdzone, obracanej za pomocą kieratu poruszanago siłą koni, szybem Danielowiec; albo zejść po schodach, których jest 470, w szybie Leszno, dziś noszącym miano Franciszek. Schody są z początku wilgotne, z powodu że glina z piaskiem zmięszana, udziela wilgoci przez ocembrowanie, lecz daléj suche i bardzo wygodne z poręczami; trzy do czterech osób może iść obok siebie; temi schodami zwykle schodzą i wychodzą robotnicy pracujący w kopalni, na niższe piątra prowadzą schody w soli wykute.

Wszystkich piąter jest pięć, ale liczą się nie tak jak w kamienicach, ale przeciwnie: piątro które leży najwyżéj, nazywa się pierwszém, głębsze drugiém i tak daléj aż do piątego, ale na czwarte i piąte schodzą tylko robotnicy; trzy wyższe bywają od gości zwiedzanemi.

Na pierwszém piątrze zasługuje na uwagę kaplica Śgo Antoniego, całkiem w soli wykuta, z amboną i poręczami z soli, daléj jezioro wody słonéj zwane Przykos, przez które przepływa się promem na linach przymocowanym; czarodziejski to widok sprawuje, gdy część podróżnych przeprawiwszy się na drugą stronę, zapala ognie bengalskie (3) (które w Wieliczce warto mieć przy sobie w zapasie), a druga połowa oświecona niemi przepływa przez jezioro.

Jaskiń ogromnych w soli wykutych jest kilkanaście, najznakomitsze: Stejnhauser, Waleryn, Michałowice i Łętów. Ostatnia sala zwana Łętów, z podłogą drewnianą i chórem dla orkiestry służy do wypoczynku gościom po zwiedzeniu salin; podczas ważniejszych uroczystości, bale tutaj bywają dawane przy rzęsistém oświetleniu całéj kopalni. W Walerynie, gdy zasadzono w dziurę w soli wykutą kilka łutów prochu i zapalono, huk był równy wystrzałowi z kilku armat naraz i przez kilka minut odbijał się echem coraz to słabszém. Największa sala nazywa się Michałowice albo

(2) Śta Kunegunda, córka Beli króla węgierskiego, urodziła się w r. 1224; zaślubiona Bolesławowi Wstydliwemu w r. 1339, po śmierci męża w r. 1279 wstąpiła do klasztoru Śtej Klary w Sączu, w Galicyi, gdzie życie zakonne zakończyła, i po śmierci za świętą została uznaną.

(3) Ogniami bengalskiemi nazywają się mięszaniny sztuczne z różnych rzeczy, które zapalone gorejąjasnym płomieniem w różnych kolorach: zielonym, czerwonym. niebieskim, i t. d.

Kloski, 72 sążni wysoka, któréj ściany całkiem są z soli, z jednéj strony układanéj na wzór cegiełek. (4).

(Dokończenie nastąpi.)

Strzałki piorunowe.

W wielu krajach i w naszym, dosyć często znajdujemy kamyki długie na kilka cali, walcowe lub nieco spłaszczone, na jednym końcu zaokrąglone albo zaostrzone, na drugim ułamane i niekiedy wydrążone, twarde, brunatne, czarniawe, wpół przezroczyste.

Kamyki te, niektóre zabobonne ludy uważają za końce *diablich pazurów* i poglądają na nie ze wstrętem. U nas lud przyjmuje one za zgasłą pozostałość *strzałki piorunowéj*; przypisuje im lekarskie skutki, chętnie zbiera, przechowuje, w razie zaś potrzeby skrobie na proszek i takowy z wódką zażywa. Cokolwiek przezorniejsi, wiedząc, iż piorun bynajmniéj nie jest jakimś kamiennym, rozpalonym pociskiem, lecz czystą iskrą elektryczną, sądzą, iż wspomniane strzałki są żuzlem powstałym z roztopionego piasku tam, gdzie weń piorun uderza.

W nowszych dopiero czasach, uczeni badacze przyrody doszli rzeczywistéj prawdy i wykazali nam istotny początek *strzałek.* Oto treść tych badań:

W wodach, szczególniéj morskich, żyje niepojęta mnogość i rozmaitośc istot muszlowych, *mięczakami* zwanych; niektóre z nich, jak *atramentnice* czyli *sepie* i *loligi*, mają wewnątrz swego miękkiego ciała muszle wapienne, z jednym końcem niby *dziób* przedłużonym i zwężonym, takiemi właśnie dziobami *muszel mięczakowych* są owe niby strzałki piorunowe.

Oczywista, zapytacie, kto i kiedy rozrzucił te odłamy muszel morskich mięczaków po naszych wydmach piasczystych, dalekich od morza?

W odpowiedzi przypómnę wam *potop powszechny*, który kiedyś całą zalewał ziemię. Wtedy to wezbrane i rozhukane wody mórz wystąpiły ze swych brzegów, zalewały krainę po krainie i roznosiły wszędzie, nawet na wysokie góry, miliony istot morskich i nie morskich. Późniéj wody ustąpiły, ale zostawiły po sobie na lądach całego świata osad, pełen szczątków roślin, muszel, ryb, ptaków i zwierząt ssących. Ostatki te w osadach częścią zniszczały, częścią razem z osadami skamieniały, i w takim stanie dochowały się aż do naszych czasów. Znajdujemy je najwięcéj w głębi różnych warstw ziemskiéj skorupy i lubo rzadziéj znajdujemy na powierzchni ziemi.

Z tych to przedpotowych czasów i nasze skamieniałe muszel *dzioby*, *strzałkami* zwane pozostały. Nie mają one żadnych lekarskich skutków, i owszem prędzéj zaszkodzić choremu mogą i dla tego nie powinniśmy używać ich ani sami, ani drugim onych doradzać.

(4) Miejsca te przechodzę pobieżnie, gdyż w artykule z roku 1860 były już obszerniéj.

PRZODOWNIK.

Słoneczko zachodzi,
Żaby rzegotają,
Od kośby pod wieczór
Kosarze wracają.

,,Dożęliśmy żytka"
Po polu rozlega,
Uboga niewiasta
Drogę im zabiega.

— Moi żeńcy mili,
Nie mam chleba w domu,
Wdowiego zasiewu
Nie ma posiec komu.

Dzieci na przypiecku
Stęchłe plewy suszą,
Na krzemionkach w piasku
Kłosy mi się kruszą.

Poczciwe ludziska
Na te wdowie prośby,
Wszyscy ilu było
Wzięli się do kośby.

Zmachały się ręce,
Poziewają twarze,
Na połowie stają,
Zasnęli kosarze.

Tylko siwy kosarz,
Choć mu z grzbietu ciecze,
Nie dał się śpikowi,
Tylko ciągle siecze.
Kiedy już ostatnie
Zaciął kosą kłosy,

Wypadła mu z ręki,
Upadł na pokosy.

Aliści niebawem
Niebiescy anieli,
Na wdowie się pole
Gromadą zlecieli.

Pokoszone garście
W narączka zbierają,
I powietrzną drogę
Niemi wyścielają.

Siwego kosarza
Dwóch wzięło pod ręce,
I wiodą go wiodą
Po owéj ścieżence...

Kędy wdowa siedzi
Na tronie w niebiosach,
Tak ci wszedł do raju
Po swoich pokosach.

Różności.

Stara to i dawno znana prawda, że człowiek ciemny, niepiśmienny, ani na swoim zagonie, ani też dla kraju pożytecznie pracować nie umie. Nie słucha on zdrowéj rady, do ludzi zaś szczerze na jego szczęście pracujących, łatwo przejmuje się nieufnością, podejrzywa zamiary a pomoc odrzuca; włóczęgów zaś i głupich, którzy mu pochlebiają i okłamują, rad słucha, a przez to sobie i innym źle robi. Oświata tylko oddalić może zgubny wpływ od włościan. Ona nauczy rozróżniać złych od dobrych ludzi i nauczy pracować na szczęście swoje i całego narodu.

Oświecenie tak dla człowieka jest potrzebne, jak i chleb powszedni, bez którego żyć nie można. Jak ciało potrzebuje chleba, tak i dusza potrzebuje zasiłku nauki i religii. Starają się ludzie o chléb powszedni, a nie myślą o chlebie dla serc i rozumów. Ci rzemieślnicy i włościanie, którzy nie chcą dzieci do szkół posyłać, wyrządzają im największą krzywdę, bo wychowują je na ludzi niepożytecznych sobie i bliźnim. Zły jest niezawodnie taki ojciec i taka matka, która woli, ażeby dziecko próżnowało, niż żeby się uczyło; ale i tacy rodzice są źli, którzy zajmują dzieci ciągłą pracą w polu, przy bydle, lub warsztacie, a nie dają im czasu do nauki. Dobrze jest przyzwyczajać dzieci wcześnie do ręcznéj pracy, ale potrzeba je przytem uczyć i oświecać w tém, co dla nich jest koniecznie potrzebném. Pracę z nauką połączyć można, a niewielka to zaprawdę będzie ujma i szkoda dla gospodarstwa, gdy dzieci kilka godzin dziennie w szkole przesiedzą. Czas w szkole spędzony wynagrodzą sowicie, bo nauka da im oświecenie, wskaże sposoby lepszego gospodarowania i nauczy lepiéj sobie w życiu radzić. Otóż nauka hojniéj się opłaci niż ta praca dziecinna, a z niéj trzeba i to wiedzieć, wyrośnie większa chwała Boska i pożytek ludzki. Gdzie tylko więc szkołę lub ochronkę otworzą, posyłajcie do niéj dzieci swoje: niechaj żadne w domu nie zostaje. Wiele dobrych pań i księży, pozakładali w tych czasach szkoły i ochrony; uczą też we dworach i na probostwach. Tam dzieci wasze nauczą się wyrosną na pożytecznych ludzi. Rodzice dzieciom, panowie włościanom, majstrowie uczniom, ułatwiać powinni naukę, przez pomaganie w zakładaniu szkółek i w kupowaniu książek. Gdy się wszyscy wzajemnie wspomagać będziemy, w téj wielkiéj sprawie oświecenia dzieci, kraj cały wkrótce pomyślnością zakwitnie.

Czytelnia Niedzielna, gorliwie służąc oświacie narodowéj, chętnie umieszczać będzie wiadomości przez łaskawych czytelników nadsyłane o szkołach elementarnych, ochronkach, egzamenach u nich odbywanych, sposobach nauczania i o tych zacnych osobach, które dając zdrowie ojczyznie przez rozszerzenie oświaty, zasłużyły sobie na szacunek i dobrą sławę u całego narodu.

SPROSTOWANIE.

Pierwsza Kassa rzemieślniczo-pożyczkowa w Warszawie, założoną była przez właścicielkę Czytelni Niedzielnéj nie w 1859 r. jak podano w 43 numerze tegoż pisma b. r., ale jeszcze w 1857 roku.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 3 listopada 1861 roku.